ORKA

„PRAWDA ZWYCIĘŻY"

Rok IV. Czerwiec 1944 Nr. 6/34

SUKCESY JEDNOŚCI

Deklaracja Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca b. r. o celach wojennych Narodu Polskiego stanowi jakby zakończenie pewnej fazy w politycznej ewolucji naszego społeczeństwa podczas wojny. Jest uwieńczeniem pewnego procesu rozwojowego w momencie, gdy wojna zdaje się wkraczać w stadium rozstrzygające. Nadchodzące wypadki, które — być może — stanowić będą dla nas najcięższą próbę wytrzymałości, nie zastaną nas rozbitych i skłóconych, lecz zjednoczonych we wspólnym marszu ku jasno ustalonym celom. Aby jednak zrozumieć w pełni i ocenić doniosłość dokonanego wysiłku zjednoczeniowego, nie wystarczy zapoznać się z treścią tej t. zw. żółtej deklaracji Trzeba tu przede wszystkim spojrzeć wstecz — na drogę, którą przebyliśmy, odmierzyć jej blaski i nędze, aby dojść do pewnej syntezy, któraby się nam stała busolą w dalszym marszu, lub — z innego punktu widzenia — manometrem, odmierzającm dynamikę wysiłku duchowego.

My Polacy nie byliśmy przygotowani do wojny z Niemcami pod żadnym prawie względem. W szczególności żaden czynnik polityczny nie liczył się z możliwością długotrwałej okupacji naszego kraju przez wroga, mimo że możliwość ta leżała jak na dłoni widoczna. Wskutek tego nie zorganizowaliśmy w porę — t. zn. przed wojną takiej metody pracy, któraby ułatwiała nam działanie w warunkach konspiracyjnych: *nie stworzyliśmy organizacji*, któraby z chwilą rozpoczęcia wojny mogła odrazu wejść pod ziemię i prowadzić skutecznie walkę z okupantem. Do tych warunków były jako tako przystosowane tylko dwie organizacje, które już przed wojną działały w Polsce jako organizacje peryferyjne w porównaniu z głównymi nurtami polskiego życia politycznego. Ten błąd przypłaciliśmy *olbrzymimi stratami ludzkimi*, bo nie było od początku dostatecznie silnej organizacji podziemnej, któraby wykształciła ludzi do walki z niemieckim terorem i równocześnie ochraniała ludzi. Niech nikt się nie tłumaczy, że nie można było przewidzieć, że Niemcy będą tak barbarzyńsko i tak podłymi metodami niszczyć nasz naród! P. Goebbels przed wojną w swoich artykułach i przemówieniach wyraźnie objaśniał

każdego, kto chciał czytać i słuchać, jak Niemcy pojmują wojnę totalną i jaki los gotują przeciwnikom, a p. Himmler demonstrował to publicznie w samych Niemczech, likwidując opozycję. Jeśli masa żydowska dała się wymordować w Polsce i gdzieindziej, mając przed tym daną możność ucieczki — świadczy to o bezdennej głupocie i zaślepieniu jej warstwy kierowniczej, która okazała się wyjątkowo podłą, tchórzowską i sobkowską. Chlubne wyjątki nie zaprzeczają naszemu twierdzeniu, lecz przeciwnie — potwierdzają regułę. My Polacy uciekać nie mogliśmy i nie powinniśmy byli, lecz powinniśmy byli przygotować się do walki z okupantem stosującym metody wojny totalnej tym bardziej, im lepiej wiedzieliśmy, że w otwartej walce w polu nie sprostamy Niemcom, sprzymierzonym w dodatku z Sowietami, co do których nikt nie powinien był się łudzić, że w decydującym momencie zadadzą nam cios w plecy.

W najstraszniejszych warunkach naród, opuszczony przez swoich dotychczasowych „wodzów" i „wychowawców", którzy kończyli swoją karierę jako smutni bohaterowie drogi zaleszczyckiej, zaczął się powoli budzić z osłupienia, zaczął się skupiać i łączyć w różne organizacje. W miarę przedłużania się wojny organizacje zaczęły się mnożyć jak grzyby po deszczu, a ludzie grupowali się bądź około pewnych ideałów, bądź pewnych osobistości. Wszystko to było robione z mniejszym lub większym talentem, przeważnie bez znajomości rzeczy, *po partacku* było improwizowane, a ponieważ w parze z dobrymi chęciami nie szły zdolności organizacyjne i konspiracyjne, gestapo miało b. ułatwioną pracę i tysiące ludzi zapełniały co miesiąc kontyngent w obozach koncentracyjnych. Ten niepokojący objaw skłonił wreszcie gen. *Sikorskiego* do wszczęcia energiczniejszych kroków celem skonsolidowania życia politycznego w kraju. Przykładem służyła w tym przypadku nasza emigracja, która wylądowawszy w Londynie, natychmiast odrestaurowała dawny przedwojenny podział na stronnictwa. Pod natchnieniem londyńskim zaczęły się wreszcie w kraju nieco żywiej ruszać *dawne partie*, t. zn. szczątki sztabów partyjnych i dzięki większej rutynie oraz posiadanym zasobom materialnym mogły rozwinąć na szerszą skalę pracę konsolidacyjną. Poprzez porozumienie czterech stronnictw do Rady Jedności Narodowej — oto droga pewnej instynktem samozachowawczym dyktowanej konsolidacji i stopniowego likwidowania wzgl. wchłaniania małych, t. zn. słabych materialnie, organizacyj ideowo-politycznych. Dziś jesteśmy już w tym stadium, że co jest poza Radą Jedności, nie liczy się, chyba że są to komuniści ze swoimi rozlicznymi parantelami i afiliacjami. Dziś jesteśmy już na tak wysokim poziomie konsolidacji, że kłócimy się jeszcze tylko o miejsca w Radzie i wpływy w Delegaturze, ale jeśli wpadamy czasem w pe-

symizm z powodu niedołęstwa tego czy innego czynnika, to przypomnijmy sobie, z czym stailśmy trzy lata temu?

Los tak chciał, że naród nasz prowadzi obecną wojnę bez oparcia się o jakąś *opatrznościową jednostkę*, geniusza, wodza, czy bohatera narodowego. Jedyna osobistość wybijająca się ponad przeciętną miarę autorytetu politycznego — generał Sikorski — zginęła tragicznie, a w dodatku umarł Paderewski. Niewątpliwie wrogowie nasi liczyli, że śmierć Sikorskiego ułatwi im zadanie i że spadniemy automatycznie do roli czystego obiektu polityki międzynarodowej. Myślano, że będzie można odtąd decydować o nas bez nas. Wrogowie nasi pomylili się i zawiedli się brzydko.

Okazało się, że sprawa polska nie stoi na takiej czy innej osobistości i wraz z nią upada, lecz że dziś już cały Naród Polski stanowi organizm dość silnie okrzepnięty w rozwoju, który tak długo będzie żył, *„póki my żyjemy"*. Sprawa polska — to nie intryga dyplomatyczna, lecz sprawa samoistna narodu, którego wolę reprezentuje każdy nasz „szary człowiek", każdy obywatel czy to w chłopskiej siermiędze czy robotniczej bluzie. Nie oznacza to, że doskonale dajemy sobie radę bez ludzi wybitnych, że nie odczuwamy boleśnie braku ludzi o nieprzeciętnych zdolnościach i wielkim autorytecie. Zmuszeni jesteśmy posługiwać się garniturem ludzi przeciętnych, albo ludzi, którzy jeszcze nie potrafili sobie wyrobić w społeczeństwie dużego autorytetu. Zwłaszcza tu w kraju odczuwamy brak ludzi na miarę wymaganą przez czas i okoliczności. To sytuacji nie ułatwia — przeciwnie — sprzyja błędom, ale jeśli Naród w tych warunkach potrafił zdobyć się na zorganizowanie się, na zjednoczenie w walce — to znaczy, że w samym narodzie tkwi niezniszczalny *geniusz twórczy* polityczny, tkwi silny instynkt państwowy.

Naszą konsolidacja ma swój sens wewnętrzny, ale jeszcze większy ma sens zewnętrzno-polityczny. Na wewnątrz oznacza ona „treuga Dei" — zawieszenie ideologicznych czy programowych sporów i partyjnych kłótni do czasu ustabilizowania się warunków zewnętrznych. To *wewnętrzne zawieszenie broni* istnieje we wszystkich wojujących państwach, które jeszcze coś znaczą. Gdybyśmy na tym tle przedstawiali obraz kłótni i walk wewnętrznych wystawilibyśmy sobie smutne świadectwo braku zmysłu rzeczywistości i narazilibyśmy się na smutny los, którego przykładem są w tej chwili kraje bałkańskie. Na zewnątrz zaś nasza jedność narodowa ma stanowić solidne oparcie dla polityki rządu naszego, który swój autorytet i siłę moralną czerpie, naszym zdaniem, nie z tak zwanego legalizmu, z legalnego, konstytucyjnego swego pochodzenia (jak to nam wmawia sanacja), lecz z tego, że *za nim stoi i popiera go cały Naród*. Gdyby nasz rząd nie miał tego oparcia w kraju, na nic by mu się zdała owa legitymacja ślubnego pochodzenia, bo doktryny prawa międzynarodowego są chwiejne i każdy paragraf, jak wiadomo można odwrócić, a mimo to bę-

dzie paragrafem. Gdyby nasz kraj był rozdwojony, natychmiast stracilibyśmy cały autorytet zagranicą, spadlibyśmy do roli piłki, rzucanej raz w jedną, raz w drugą stronę, a nieuchronnym tego skutkiem byłby piąty rozbiór Polski, równający się praktycznie ostatecznej zagładzie naszego Narodu jako samodzielnego czynnika polityki międzynarodowej.

Potrzeba niebywałego zuchwalstwa i braku wszelkiego poczucia odpowiedzialności do twierdzenia, że ktokolwiek z nas tu w kraju może obecnie decydować o posunięciach *naszej polityki zagranicznej* i ma prawo narzucać decyzje rządowi naszemu. My jesteśmy w stanie najwyżej komunikować rządowi swoje chęci i zapatrywania, ale rzeczą rządu jest decydować w jaki sposób, kiedy i w jakich warunkach może nastąpić krok angażujący nas w polityce międzynarodowej. Wynika to z tej prostej przyczyny, że my nie znamy i znać nie możemy dokładnie układu figur na szachownicy gry dyplomatycznej. Mówi się często (nie wierząc zresztą w to), że czasy tajnej dyplomacji minęły. Pamiętajmy jednak, że nigdzie zagadnienia polityki międzynarodowej nie są rozstrzygane na forum parlamentarnym, lecz w gronie ściśle wybranym, gdyż polityka zagraniczna — to najwyższy kunszt polityki, wymagający niebylejakich zdolności i rozległej wiedzy w dziedzinach, które wymagają wieloletniej mozolnej nauki i pracy nad sobą. W Anglii o polityce zagranicznej nie decyduje Izba Gmin, lecz Król, który ma to prawo wyraźnie zastrzeżone. W Stanach Zj. o polityce zagranicznej nie decyduje Kongres, lecz jest to prerogatywa Senatu i Prezydenta. W trzecim moctrsawie „demokratycznym" w Rosji sowieckiej Najwyższa Rada ZSRR nie ma żadnego znaczenia w tej dziedzinie jak zresztą w wielu innych), a czynnikiem decydującym jest oligarchia Politbiura. Zajmując najbardziej demokratyczne stanowisko nie możemy dojść do innego wniosku, jak do tego, że w obecnych warunkach nasz rząd w Londynie mając u boku Radę Narodową jest *jedynym czynnikiem* powołanym do rozstrzygania naszych spraw zagranicznych. Skoro mamy w tym rządzie ludzi cieszących się ogólnie naszym zaufaniem i zaufaniem mocarstw z nami sprzymierzonych, powiedzieć sobie musimy, że nic mądrzejszego i lepszego w tej dziedzinie wymyślić nie potrafimy — i nie potrzebujemy. Dodać należy jeszcze, że kapitalne zagadnienie polityki zagranicznej nigdy nie dadzą się ująć w szablony i kryteria partyjne: różnice zdań na ten temat rzadko kiedy i gdzie pokrywają się z podziałem na stronnictwa. Polityka zagraniczna dzieli ludzi na obozy według innego kryterium niż polityka wewnętrzna, co najlepiej obserwujemy na przykładzie Anglii i Stanów Zj., gdzie bardzo często przedstawiciele skrajnej lewicy tworzą w danej kwestii zagranicznej wspólny obóz z przedstawicielami skrajnej prawicy.

Nasza polityczna konsolidacja przysporzyła już naszej sprawie wiele korzyści, głównie w tym sensie, że uchroniła kraj nasz

od walk wewnętrznych i „bałkanizacji", dzięki czemu rząd nasz w Londynie cieszy się największym z pośród wszystkich emigracyjnych rządów autorytetem. Niezłomna konsekwentna polityka rządu — na którego czele stoi twardy a roztropny chłop — *Mikołajczyk* — wywarła ostatnio decydujący wpływ na stosunek do sprawy polskiej zarowno mocarstw anglosaskich jak i Rosji. *Mowa Churchilla* z dnia 25 maja w Izbie Gmin stanowi wyraźne wycofanie się premiera angielskiego z pozycji, jaką zajął w mowie z 22 lutego — na korzyść Polski. Wiemy, że Premier zmienił swój pogląd, *gdy się upewnił w międzyczasie,* że opinia naszego kraju całkowicie podziela pogląd rządu. Dochodzą do nas również wiadomości, że Rosja poważnie zmienia swoje postulaty i że stawia coraz łagodniejsze warunki. Stalin napewno nie poto zabiegał o względy *księdza Orlemańskiego,* by się nawrócić na wiarę katolicką: i napewno nie rozmawiałby z nieznanym naogół proboszczem, gdyby się czuł w sprawie polskiej bardzo mocnym i pewnym. Sprawia to jednolita postawa kraju i emigracji, zwłaszcza emigracji amerykańskiej, której uchwały na *Kongresie* w Buffalo świadczą niezbicie o tym, jak czuje i myśli wolny duch narodu naszego na wolnej ziemi. Ostatnio znowuż rząd Stanów Zj. zgotował Premierowi naszemu iście królewskie przyjęcie, gdy ten przybył dn. 5 czerwca do Waszyngtonu.

Ale oto w momencie przełamywania się sytuacji, w momencie gdy jesteśmy już tylko o krok od całkowitego zwycięstwa, wszystkie *wrogie nam siły* sprzęgły się i zdwoiły wysiłki *celem rozbicia nas* i pokazania światu znowu „Polski o dwu orientacjach". Krecią robotę prowadzą rozbijacze za obce pieniądze i na emigracji i tu w kraju. Usiłują rozbić konsolidację naszą różnymi drogami, wydobywając i rozdmuchując stare antagonizmy, siejąc nieufność i podejrzenia, nie cofając się przed szkalowaniem osób i wydawaniem ich w ręce okupanta. Główny atak kierują w tej chwili w stronę *ruchu ludowego,* wiedząc, że stanowi on najsilniejszy ośrodek naszego życia politycznego i że na nim opiera się wzrastający autorytet Mikołajczyka. Liczą na to, że uda im się pozyskać dla swej podłej roboty ludzi słabszego charakteru i o chwiejnych poglądach. Jednak uświadomione politycznie rzesze chłopskie wiedzą, że droga, którą wskazują im rozbijacze, wiedzie do drugiej Targowicy i do zaprzepaszczenia całego dorobku, jaki przyniosła konsolidacja ruchu ludowego. Chłopi wiedzą, że z rozłamów zawsze korzystali inni, ale nigdy chłopi. Ale nie tylko to: chłopi potrafią ponadto jeszcze dać rozbijaczom taką naukę, że raz na zawsze odechce się im grasować po wsi w poszukiwaniu „głupich Jasiów". Chodzi bowiem o to, by każdy zrozumiał, że nasza konsolidacja polityczna ma na celu przede wszystkim pomyślne rozwiązanie naszych spraw zagranicznych, a w sprawach tych nie istnieje *ani orientacja „lewa" ani „prawa"*, tylko jest jedna, która nazywa się *polską racją stanu.* Kto tej racji stnu, dotyczącej podstawowych

warunków naszego życia niepodległego, nie uznaje, ten staje się automatycznie szkodnikiem narodowym, a szkodników trzeba tępić.

LOSY IDEI FEDERACYJNEJ

Wśród wielu rozczarowań, których nie skąpi nam wojna obecna, za jedno z największych zwykło się u nas uważać to, które wiąże się z koncepcją federacji, czy też konfederacji środkowo-europejskiej. Dla wielu krótkowzrocznych polityków naszych sprawa ta jest ostatecznie pogrzebana i nie warto do niej nawet powracać w żadnych rozważaniach na temat przyszłej konstelacji Europy.

Warto zaznaczyć, że sądy naszych sceptyków w dużej mierze zabarwia refleks umiejętnej propagandy niemieckiej, która dla własnych oczywiście celów, stara się nam dać obraz sił koalicyjnych, wyolbrzymiający znaczenie Sowietów, a pomniejszający, jeśli nie wręcz przekreślający rolę państw anglosaskich w tworzeniu przyszłej rzeczywistości. Jak dalece istotna ocena sytuacji w oczach samych Niemców różni się od ich chwytów propagandowych, można sprawdzić bodaj w wypowiedziach Kwatery Głównej Führera, która wręcz przeciwną miarę przykłada do omawianego powyżej stosunku sił, decydujących rozstrzygnięć spodziewając się na Zachodzie i wschodniemu frontowi przypisując już dziś trzeciorzędne zaledwie znaczenie.

Miejmy nadzieję, że ten czynnik, który zadecyduje o zwycięstwie nie zaniedba wywrzeć odpowiedniego wpływu również na formę pokoju. Dlatego gdy mowa o koncepcjach rozważania po wojnie problemu środkowo-europejskiego — niech nam wolno będzie przykładać większą wagę do tego, co o tej sprawie myśli świat anglosaski, aniżeli do tego, co odpowiadałoby interesom władców Kremla.

Dla Anglosasów sprawa federacji to przede wszystkim jedna z form pacyfikacji Europy. A form takich, które są brane pod uwagę jest w ogóle dwie: albo tworzenie wielkich *bloków federacyjnych,* wchodzących z kolei w związek paneuropejski albo *podział Europy na strefy wpływów* zwycięskich mocarstw. O jakimkolwiek zostawieniu samopas drobnych i średnich państw nie ma mowy i pod tym jednym względem nie ma żadnej różnicy zdań między wielkimi aliantami. Chodzi zatem tylko o to, która z dwóch zasadniczych koncepcyj organizacyjnych ma większe szanse powodzenia względnie jak one są oceniane z punktu widzenia interesów głównych aktorów w obecnym teatrze wojny.

W ustosunkowaniu państw anglosaskich do tego zagadnienia można już dziś rozróżnić *trzy conajmniej fazy* Pierwsza zaczyna się od postawienia problemu, w czym jak wiadomo konkretny projekt opracowany przez Rząd Polski już w grudniu 1939 r., odegrał niemałą rolę. W tym czasie opinia amerykańska bez wyjątku, W. Brytyjska w przeważnej mierze ustosunkowały się do niego pozytywnie, lub z dużą dozą ostrożności. Pod auspicjami Foreign

Office'u tworzą się wtedy zalążki przyszłych związków konfederacyjnych w postaci paktów *jugosłowiańsko-greckiego i polsko-czeskosłowackiego.* To szybkie przejście ze stadium teoretycznej dyskusji w stadium wstępnej już realizacji zdawało się wróżyć federacyjnej koncepcji jak najlepsze nadzieje. Zwarzone one zostały niespodzianie wystąpieniem Związku Sowieckiego, który uznał formacje jakichkolwiek bloków w Europie Środkowo-wschodniej i jako taką niedopuszczalną, dla zabezpieczenia się zaś przed popieraniem tego rodzaju prób przez W. Brytanię zobowiązał tę ostatnią w osobnej wymianie not do niezawierania żadnych układów z państwami tej części kontynentu na okres powojenny. Oczywiście zobowiązanie to miało charakter dwustronny, t. j. wiążący zarówno W. Bryt. jak i Związek Sowiecki. Równocześnie Kreml podkreślił swoje zainteresowanie i konieczność udziału w ustalaniu powojennego statutu Europy w ogólności, środkowo-wschodniej zaś jej części w szczególności. Działo się to wszystko na przełomie lat 1941—42. Rozpoczęła się teraz faza, w której publicystyka angielska jakby zapomniała o istnieniu projektów federacyjnych i niezbyt przychylnie zareagowała na ich przypominanie przez prasę amerykańską i innych narodów. Im dalej wojska rosyjskie cofały się na wschód tym głośniej mówiło się nad Tamizą o żywej współpracy Związku sowieckiego nad planem organizowania Europy. Powstały specjalne Komitety, jeden Śródziemnomorski, drugi Europejski, w których Sowiety otrzymały honorowe miejsca. Głucho tylko było o postępach prac tych Komitetów. Widocznie tempo ich nie było zbyt absorbujące, skoro delegaci sowieccy postarali się wkrótce o dodatkowe misje, dające większe pole do popisu ich osobliwym ambicjom. W tym czasie Stany Zjednoczone poświęciły swą uwagę głównie rozważaniom na temat powojennych problemów gospodarczych, których ukoronowaniem była wielka konferencja w Hot Springs na wiosnę ub roku.

Aliści już od połowy 1943 r. wojska sowieckie rozpoczęły swój zwycięski marsz od gór Kaukazu i z nad Wołgi wypychając wolno lecz systematycznie Niemców z okupowanych terenów Rosji i Ukrainy. W miarę rosnącego upojenia triumfem wzmaga się aktywność dyplomatyczna Kremla. Coraz to nowe żądania, coraz to nowe ustępstwa państw anglosaskich, robione zresztą zawsze z gestem jakby nic nie mąciło cudownej harmonii między Aliantami Churchill i Roosevelt domagają się tylko coraz bardziej stanowczo osobistej rozmówki z wodzem Związku, marszałkiem Stalinem.

W ten sposób dochodzi do skutku spotkanie „wielkiej trójki" w Teheranie. Wkraczamy w rok 1944. O uchwałach tego zjazdu relacje są dość bałamutne. Wiadomo wszakże, że była też mowa i o granicach zachodnich ZSRR i o zasadzie ustalania wzajemnych wpływów na terenach objętych dziś przez państwa Osi. Zdaje się, że do uzgodnienia poglądów nie doszło, jakkolwiek zachowano wszelkie pozory przykładnej jednomyślności. Jak można wyczuć

z późniejszych oświadczeń na temat konferencji wtajemniczonych mężów stanu Anglosasi okazując pewną powolność żądaniom Związku sowieckiego w sprawie „wzmocnienia bezpieczeństwa“ jego granicy zachodniej oraz uznając prawa Związku do partycypowania w decyzjach dotyczących wszystkich spraw europejskich, wypowiedzieli się jednak dość stanowczo *przeciw dzieleniu Kontynentu na określone strefy wpływów*, akcentując po raz pierwszy wobec sojusznika, że Europa stanowi jako kompleks zagadnień pewną całość, której nie życzą sobie rozbijać na części. Minister Spraw Zagranicznych Stanów Zjednocz. C. Hull nie wahał się przytem powołać na Kartę Atlantycką i wypływające z niej prawa narodów do stanowienia o swym losie. Churchill, prawdopodobnie dla niedrażnienia wschodniego alianta — wolał — jak wiadomo — dyskusję na temat Karty odłożyć na później. Tak czy inaczej od czasu Teheranu sprawy europejskie wchodzą na nowy tor w dyskusji międzynarodowej. To przestawienie zwrotnic nie odrazu staje się dla każdego zrozumiałe. Jednak rozwój wypadków i wyrazistość polemicznych akordów wskazuje na to, że gra zaczęła się *w nowej tonacji.* Partie solowe wielkich mocarstw dają wprost niebywałe efekty. Nie zawsze symfoniczne — czyż jednak kakafonia nie jest zapowiedzią wielkiej przemiany?

Na południu dzieją się gorszące rzeczy. *W Jugosławii i Grecji,* których konfederacyjnego paktu rząd sowiecki swego czasu nie uznał, ruch powstańczy idzie dwoma torami, przyczym jeden z nich wyraźnie korzysta z protekcji Moskwy. W. Brytania lojalnie solidaryzuje się z aliantem nawiązując formalny kontakt z marszałkiem Tito. Będzie nawet wpływać na króla Piotra, by wycofał nieznanego sobie Michajłowicza. Coś musiało być niestrawnego na gust Anglików w tej dziwnej kombinacji, skoro min. Eden czuł się w obowiązku wyjaśnić w Izbie Gmin, że to przecież wojna, wojna z Niemcami i że rząd angielski jest wobec tego w sprawie pomagać każdemu, kto czynną walkę z tym wrogiem podejmuje. W danym wypadku pomoc nie zdaje się jednak być zbyt efektowna i Londyn nie rozdziera szat na tym, że czerwone sztandary jugosłowiańskich powstańców przesuwają się coraz bardziej w niedostępne ustronia Bośni i Czarnogóry. Moskwa wojenne porażki swych adherentówradaby powetować dyplomatycznym sukcesem. Aranżuje zbliżenie komunistycznych partyj Jugosławii, Bułgarii i Grecji zachowując oczywiście dla siebie dyskretne alibi. Atoli londyński „Daily Mail“, wbrew zwyczajowi angielskiemu, okazuje się mniej dyskretny i publikuje szczegóły tej akcji, z których wynika ni mniej ni więcej tylko to, że ekspozytury rozwiązanego formalnie Kominternu przygotowują utworzenie *federalnego związku rdzieckiich republik bałkańskich*, do którego ma nadto wejść *„republika dardanelska“* z Konstantynopolem (sic!), by ułatwić łączność i skuteczną opiekę nad całością macierzy wszystkich sowieckich republik Moskwie. „Daily Mail“ pisząc o tym,

zresztą bez żadnych, broń Boże, komentarzy, nawiasem wspomina, że cała ta sprawa jest znana rządowi J. Królewskiej Mości już oddawna, nie uważa on tylko za celowe do czasu podanie jej do publicznej wiadomości. Można sobie wyobrazić reakcję opinii brytyjskiej po tym zastrzyku. W skuteczność jego nie trzeba mieć chyba żadnych wątpliwości. Tymczasem Foreign Office nie przestaje w dalszym ciągu sadzić się na przesadną lojalność wobec Kremla w jego zainteresowaniach nad Morzem Śródziemnym!

Przejdźmy jednak do innej sprawy. *P. Benesz* zdawna wybierał się do Moskwy, do której zawsze czuł pociąg i kult nieprzezwyciężony jednak tak jakoś składały się warunki, że gościnny Albion nie pozwalał mu na te wycieczki. Ale po Teheranie, gdzie pp. Roosevelt i Churchill powiedzieli co myślą o przyszłości Europy — prezydent czesko-słowacki dostaje upragniony paszport. W Moskwie podpisuje pakt sojuszu i ścisłej współpracy (na okres 20 lat) między Czechosłowacją i Związkiem sowieckim. W parę miesięcy potem układ rozdzielający kompetencje władz sowieckich i narodowych czeskich... na terenie tejże republiki. Ani jednym słowem publicystyka angielska nie zdradziła co myśli o tym sadowieniu się władz związkowych w samym sercu Europy, ani o zgodności świeżo podpisanego układu z nieco dawniejszym, który był zawarty z W. Bryt. na wyraźne życzenie Moskwy. Jednakże nie jest pewnie dziełem przypadku, że teraz właśnie po długich i dotychczas bezowocnych staraniach *emigracja słowacka* w W. Bryt. uzyskała pozwolenie na ukonstytuowanie samodzielnego Komitetu narodowego słowackiego z *p. Hodżą* na czele, uchodzącym za największego politycznego antagonistę Benesza. Co będzie, jeśli Komitet ten uznany zostanie za właściwego wyraziciela państwowych aspiracji Słowaczyzny? Można co najmniej wątpić, by Słowacy tęsknili do jakiejkolwiek spólotyn ze wschodem, do łączności z nim politycznej czy kulturalnej.

A właśnie gen. *Smuts* zabrał ostatnio głos w sprawie znaczenia tej łączności i oświadczył swoim zwyczajem dość kategorycznie, że zasięg kultury zachodniej musi być respektowany przy ustalaniu politycznej granicy Europy. Niemal równocześnie „Times" zamieścił obszerny artykuł, w którym rozwodzi się nad potrzebą stworzenia *„middle-zone"*, strefy środkowej, któraby raz na zawsze oddzieliła odwiecznych antagonistów Rosji i Niemcy, gwarantując w jedynie skuteczny sposób pacyfikację starego Kontynentu. Nieznane nam jest co na to Times'owi odpowiedziała moskiewska „Prawda". Być może przepuściła ona — a niesłusznie — ów niespodziewany zryw tak układnego zawsze wobec Moskwy dziennika londyńskiego. Od dłuższego czasu bowiem „Prawda" jest wyłącznie zajęta polemiką z prasą amerykańską, która — odmiennie od brytyjskiej — nie bawi się w dyplomację, o ile chodzi o wypowiadanie sądów o sowieckich uroszczeniach do urządzania Europy. Na szpaltach takich pism jak „New York Times", „New

York Herald Tribune", „New Leader", „Christian Science" i innych roi się po prostu od czasu Teheranu od śmiałych określeń, piętnujących zachłanność imperializmu sowieckiego. Amerykanie marzą o federacji światowej, do której droga prowadzi przez tworzenie federacyj regionalnych, wśród nich zaś w pierwszym rzędzie *federacji środkowo-europejskiej.* Za koncepcją bloków federalnych opowiedział się też bez ogródek *p. Cendell Willke,* kontrkandydat Roosevelta na stanowisko prezydenta, w swej książce p. t. „Jedność świata".

Organ imperialistów amerykańskich, największy i najpopularniejszy w Stanach Zjednoczonych tygodnik *„Time"*. pisząc na temat założeń polityki amerykańskiej oświadcza wyraźnie: „Jednym z dotychczas wysuniętych planów, rozważających rzeczową podstawę konstrukcji pokoju w Europie, jest plan, opierający się na zastosowaniu federacji państw europejskich. Dlatego też USA powinny wystąpić z propozycją współpracy w tworzeniu federacyj europejskich". Dalej zaś dodaje: „zwalczać będziemy tyranię polityczną, gdziekolwiek ją znajdziemy. Nigdy nie dawaliśmy wyrazu poglądom, że chcemy pokoju za wszelką cenę".

Amerykanów mniej obchodzą sprawy graniczne, natomiast interesują ich koncepcje zasadnicze i metody ich rozwiązywania. Arbitralność Sowietów w sprawie polskiej doczekała się takiej oceny, skreślonej piórem *Waltera Lippmana* znanego publicysty amerykańskiego i osobistego przyjaciela Roosevelta: „Co za okropna ignorancja stosunków amerykańskich — twierdzenie, że wszystko w Europie Środkowej jest sprawą Rosji! Czy Rosjanie wyobrażają sobie, że to się może podobać Amerykanom? Śmieszna, fantastyczna iluzja"!

Możnaby cytat podobnych dostarczyć więcej — już z tego jednak można sobie wyrobić sąd o kierunku, w jakim orientuje się opinia społeczna Stanów Zjednoczonych. Jeśli skojarzyć z tym ostatnie ewolucje niezwykle zdyscyplinowanej opinii angielskiej, będziemy mieli obraz właściwego nastawienia Anglosasów do sprawy nas interesującej. Chodzi o samą koncepcję i ideę zasadniczego rozwiązania problemu środkowo-europejskiego. Szala niedwuznacznie przechyla się na korzyść koncepcji federacyjnej. Nie widać jeszcze, co prawda, planu realizacyjnego. Ale o tym pomówimy innym razem.

NOWE KSIĄŻKI

Niezmiernie pocieszającym zjawiskiem jest, że mimo wojny i straszliwych warunków okupacyjnych ukazywać się mogą od czasu do czasu nielegalne wydawnictwa książkowe o rozmiarach kilkudziesięciostronicowych, a nawet obszerniejszych broszur. Prasa podziemna bowiem istniejąca w formie bardzo cienkich (niestety zbyt licznych) periodyków, nie może spełnić zadania, jeśli cho-

dzi o tematy, wymagające z natury rzeczy obszerniejszego omówienia. Takie tematy np. jak sprawa zachodnich granic Polski, stosunki polsko-sowieckie, problem powojennego układu stosunków politycznych w Europie, zagadnienie przebudowy życia gospodarczego Polski etc. nigdy nie mogą być wyczerpane w ramach jednego lub nawet kilku artykułów prasowych. Czytelnik chcący nabrać dokładnego wyobrażenia o danej sprawie musi przeczytać bardziej źródłowe i szczegółowe studium: autor musi przysiąść fałdów i napisać takie studium: ale największy bodaj kłopot zaczyna się wtedy, gdy szuka się wydawcy, któryby sfinansował daną imprezę, i drukarza, któryby chciał się podjąć pracy nielegalnej. Dlatego fakt ukazywania się broszur musimy uznać za zjawisko pocieszające i pożyteczne. Nie znaczy to, iżbyśmy każdą wydaną broszurę mogli uznać za pożyteczną. Ta okoliczność właśnie skłania nas do zwrócenia uwagi na kilka broszur, które ukazały się w ostatnich czasach.

Niestety szczupłe rozmiary naszego pisma nie pozwalają nam na publikowanie szczegółowych recenzyj. Jednak obowiązek nakazuje nam podanie przynajmniej ogólnej ich charakterystyki i naszej oceny. Powoduje nami obawa, że broszury wydane w warunkach konspiracyjnych, a więc prawie całkowicie anonimowe, albo mogą nie docierać do pewnych środowisk, coby się mijało z celem wydawnictwa, albo też mogą być w pewnych środowiskach źle rozumiane i opacznie tłumaczone. Naszym zdaniem obowiązkiem prasy jest reklamowanie wydawnictw pożytecznych i przestrzeganie przed wydawnictwami szkodliwymi z p. w politycznego lub społecznego.

Z literatury politycznej ukazało się u nas w kraju kilka dobrych broszurek, ale jeszcze więcej ukazało się takich, których braku wcaleby się nie odczuwało. Szkoda było czasu — i papieru, nie mówiąc o pieniądzach. No, ale przejdźmy teraz do najnowszych wydawnictw.

„Nowy wspólny Dom“ — oto tytuł ładnej książeczki, wydanej staraniem naszych czynników oficjalnych, a zapełniającej bardzo poważną lukę w dotychczasowych imprezach wydawniczych. Przedstawiony jest w niej pogląd na najważniejsze zagadnienia gospodarcze w Polsce powojennej ze szczególnym uwzględnieniem przebudowy struktury rolnej. To ostatnie zagadnienie jest przedstawione naogół zgodnie z postulatami ruchu ludowego. toteż broszura ta powinna znaleźć się w ręku każdego działacza ludowego jako cenny przewodnik po zawiłym labiryncie spraw gospodarczych. Nie wszystkie zagadnienia gospodarcze zostały tam omówione należycie, lub ze znawstwem, jednak to co jest — to bardzo wiele z porównaniu z dotychczasowym stanem naszej wojennej literatury gospodarczej.

„W świetle Dnia“. Ta broszura, przypominająca wygladem periodyk w treści swojej całkowicie zaprzecza tytułowi, gdyż

po przeczytaniu jej nie tylko nic się czytelnikowi nie wyjaśnia, lecz przeciwnie — wszystko ulega jeszcze większemu zaciemnieniu. Składa się na nią szereg artykułów i dwa wierszyki. Ttytuły artykułów: „Źródła współczesnego kryzysu duchowego". O różnych postawach wobec życia. Z etyki stosunków merkantylnych. Walka o demokrację. Podstawy polityki oświatowo-kulturalnej. Sprawa organizowania kultury (!). Opieka integralna. Rola wychowawcza szkoły. Dzisiejsze pokolenie". Tendencja tych artykułów? Nie wiadomo, o co autorom chodzi. Dużo jest tam mowy o demokracji pojętej w jakiejś dziwnie abstrakcyjnej formie.

„Zagadnienia kulturalne". Cz. I. Tytuł obowiązuje. Niestety, ta pokaźna broszura, na którą się składa szereg artykułów, a która jest przeznaczona przede wszystkim dla pracowników oświatowych, jest bardzo oddaloną od tego, cobyśmy chcieli widzieć pod takim tytułem w dzisiejszych czasach. Treść jej ani nie wzbogaca umysłu, ani nie podnieca wyobraźni, ani nie zawiera nic takiego, coby wskazywało na konieczność jej wydania w dzisiejszych czasach, kiedy trzeba bardzo ekonomicznie gospodarować zapasami papieru i ludzką ofiarnością. Niektóre artykuły nie są złe, ale główny i pierwszy p. t. Wielki przełom — wzbudzają wielkie zastrzeżenia z p. w. ideologii naszego ruchu. Wszystko to jest podlane sosem „demokratycznym" w smaku kosmopolityzmu, hodowanego na materialistycznej filozofii. Takie rodzynki ruch ludowy musi stanowczo odrzucić, z tej kuchni nasza kultura nie będzie czerpać strawy. Autor stwierdza, że świat przeżywa wielki kryzys duchowy, który jest kryzysem kultury dotychczasowej. Kryzys przełamie się, jeśli się kulturę „podda rewizji". Takie instytucje jak rodzina, naród i państwo są przestarzałe i nie odpowiadają nowoczesnym warunkom. Dotychczasowa religia upadła, gdyż nie odpowiada obecnej podstawie duchowej człowieka: trzeba stworzyć nową religię i nowe więzy moralne. Celem, ku któremu dążyć winniśmy jest społeczeństwo bezklasowe, całkowicie zdemokratyzowane w ramach uspołecznionej produkcji wielkoprzemysłowej, która n. b. bardziej odpowiada naturze ludzkiej niż praca rolnicza. Oto myśl przewodnia tego naczelnego artykułu. Sapienti sat!

„Pójdź z nami". Taki jest tytuł broszury, wydanej przez bibliotekę unionistyczną, która ma na celu kaptowanie ludzi do ideologicznego ruchu „Unii". W sposób bardzo przystępny przedstawia autor różne postawy światopoglądowe, poddaje je krytyce, aby z kolei przejść do bliższego określenia Chrześcijańskiego światopoglądu, reprezentowanego przez Unię. W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z nową postacią starej rzymsko-katolickiej idei uniwersalistycznej, której nie można odmówić wielkości i atrakcyjności, ale która w praktycznej polityce Watykanu i kleru wyrządziła Polsce bardzo wiele szkód. Uniwersalizm katolicki, podobnie jak uniwersalizm socjalistyczno-marksowski czy liberalno-kapitalistyczny jest z natury rzeczy wrogiem wszelkich nie-

podległościowych ruchów narodowych i żadne wybiegi filozoficzne tego faktu zamaskować nie mogą. Naszym zdaniem nie godzi się boskiej nauki Chrystusa nadużywać dla celów politycznych: Chrystus politykiem nie był i na tym m. in. polega Jego wielkość. *Chłopi maszerują!* Nasze czynniki oficjalne wydały pod tym tytułem broszurę, której zadaniem jest krzepić serca i przedstawić społeczeństwu imponujący rozwój samodzielnego politycznego ruchu chłopskiego w Polsce. Rzecz opracowana została zgrabnie i może wiele przyczynić się do spopularyzowania wiedzy o roli ruchu ludowego zwłaszcza w tych kołach mieszczuchów, które o ruchu naszym mają bardzo mętne wyobrażenia. Jednak w kołach chłopskich niektóre jej akcenty muszą wywołać niesmak, zwłaszcza gdy się czyta czołobitne podziękowania pod adresem tych panów z Rady Jedności, którzy łaskawie zgodzili się na uchwalenie reformy rolnej. A w ogóle chłopi nie lubią, gdy się im kadzi, albo się robi z nich cudacznych rarogów: pragną tylko, by wreszcie zaczęto ich naprawdę traktować jako pełnoprawnych i dojrzałych obywateli, nie gorszych, ale i nie lepszych od innych klas obywateli. Dymy kadzideł nie otumanią ich i nie przesłonią faktu, że o tę sprawiedliwą pozycję i należytą ocenę będą musieli chłopi jeszcze ciężko walczyć. Walczyć będą, ale nie żebrać.

NASI W KRAJU I ZAGRANICĄ

W miarę, jak okoliczności zmuszają do coraz aktywniejszej działalności i rozwijania na coraz szerszą skalę pracy organizacyjnej, okazuje się, że ludzie postawieni na różnych posterunkach pracy publicznej drogą kompromisu międzypartyjnego często zawodzą i nie wykazują odpowiednich zdolności. Zjawisko to przewidzieliśmy i w swoim czasie przestrzegaliśmy przed poświęcaniem *osobistości na rzecz kompromisu.* Obecnie przeżywamy okres *kryzysów personalnych* i zmian na stanowiskach. Wieś oddawna krytycznie patrzyła na robotę czynników warszawskich i z instynktownym ale nieomylnym realizmem oceniała ją jako papierową i makulaturową. Toteż wieś w swoich najniższych komórkach terenowych potrafiła zupełnie samorzutnie i bez niczyich instrukcyj zorganizować pracę lepiej i postawić odpowiednich ludzi na odpowiednich miejscach. Bez żadnej przesady stwierdzamy — a każdy o tym przekonać się może, jeśli zechce — że to, co nas napawa ogromną wiarą w żywotne siły Narodu i otuchą, jeśli chodzi o przyszłość, to jest *wieś polska,* która mimo najcięższych ciosów i bestialstwa okupanta daje raz poraz zdumiewające dowody najszlachetniejszego patriotyzmu, solidarności, talentu organizacyjnego i bojowości. Politycznej aktywizacji wsi towarzyszy jednak zdumienie, że gdzieś tam na górze nie mierzy się rozstrzygnięć wielkością faktycznego wkładu i faktycznej siły ruchów niepodległościowych, lecz jakimiś mechanicznymi i dość

zardzewiałymi kluczami partyjnymi. To trzeba otwarcie powiedzieć mimo całego naszego uznania dla zasady jedności narodowej, któremu zresztą daliśmy wyraz w artykule wstępnym.

W chwili gdy słowa te piszemy, front wschodni jeszcze nie ruszył ale lada chwila może lawina wojenna posuwać się od wschodu poprzez nasze ziemie. W tych warunkach pierwsza myśl winna być poświęcona trosce o los rodaków, których front zmusi do ewakuacji w bardziej bezpieczne miejsca. Nie możemy dopuścić do *poniewierki uchodźców*, lecz musimy zająć się ich losem i dać im jakiś przytułek, pamiętając, że co ich spotkało dzisiaj, jutro może spotkać nas. Szczególnie zająć się musimy losem matek i dzieci!

Nasze sprawy zagranicą poprawiły się dość wyraźnie i pozwalają mieć nadzieję, że wszystko ułoży się pomyślnie prędzej czy później. Do najważniejszych wydarzeń w tym zakresie należy po pierwsze okrycie się nieśmiertelną sławą *naszych wojsk we Włoszech*, które zdobyły najbardziej niedostępne i zacięcie bronione pozycje niemieckie pod Cassino. Ten bohaterski i krwawy wyczyn wywołał w opinii anglosaskiej prawdziwy wybuch entuzjazmu i sympatii dla naszego Narodu, co ma duże znaczenie polityczne. *Mowa Churchilla* z dnia 25 maja była tego dowodem, gdyż różniła się ona w tonie bardzo poważnie od mowy z 22 lutego, która tyle krwi nam napsuła. Drugim poważnym wydarzeniem był *Kongres Polonii amerykańskiej w Buffalo*, w którym brało udział 2500 delegatów, reprezentujących 6 milionów obywateli amerykańskich pochodzenia polskiego. W uchwalonym orędziu Kongresu do Prezydenta Stanów Polonia amerykańska wypowiedziała się bardzo stanowczo za pełnym zrealizowaniem zasad Karty Atlantyckiej i za nienaruszalnością naszych granic wschodnich. Zwłaszcza bardzo ostro wypowiedział się Kongres przeciwko jakiemukolwiek tolerowaniu jednostronnych decyzyj ze strony Rosji. Wrażenie tego Kongresu było bardzo duże w całej Ameryce. Trzecim wreszcie wydarzeniem pozostającym poniekąd w związku z poprzednim było *przybycie naszego Premiera do Waszyngtonu* i jego konferencje w Białym Domu. Ponieważ wizyta zbiegła się akurat z początkiem generalnej ofensywy na Niemcy, należy przyjąć, że będzie ona miała decydujące znaczenie dla dalszego rozwoju naszej sprawy.

Gdy się to działo na Zachodzie, Moskwa nie poniechała prób dywersyjnego załatwienia sprawy polskiej. Największy kłopot jednak ma Kreml z tym, że nie może dla swojej gry znaleźć odpowiednich, t. zn. cokolwiek znaczących w opinii polskiej Polaków. Tej to okoliczności należy zawdzięczać całą tragifarsę z *księdzem Orlemańskim*, którego Stalin osobiście zaprosił do Moskwy. Gdy sprawa ta zakończyła się kompromitująco i dla księdza i dla Stalina, postanowiono zainscenizować przybycie do Moskwy *delegatów Kranu* (krajowej rady narodowej) w postaci czterech przed-

stawicieli różnych „organizacyj" a. m. in. Stronnictwa Ludowego. Przyjął ich również osobiście Stalin, jednak świat zaraz dowiedział się, że rzekome organizacje polskie istnieją tylko w imaginacji sowieckiej, a prawdziwi przedstawiciele Stronnictwa Ludowego wchodzą w skład naszego rządu i Rady Jedności Narodowej. Wielki pech spotkał i tym razem Stalina, gdyż akurat w dniu kiedy radio moskiewskie ogłosiło przyjęcie przez Stalina rzekomych przedstawicieli Kraju, przemówił Churchill i w mowie swej podkreślił, że Anglia uznawała i uznaje rząd polski w Londynie. Poza mową Churchilla świadczy o zwrocie w polityce angielskiej na korzyść Polski dyskusja w Izbie Lordów na temat polityki zagranicznej. Ten zwrot zarysuje się, naszym zdaniem, całkowicie wyraźnie po ustaleniu się drugiego frontu czyli po mocny usadowieniu się Anglosasów na kontynencie europejskim. Dziś — w pierwszych dniach inwazji odczuwamy wyraźnie to przesunięcie się punktu ciężkości na Zachód. Tym samym i dywersja sowiecka na naszym terenie traci grunt, a dotychczasowi adherenci Moskwy już wkrótce zobaczą, jak krótkowzroczne były ich kombinacje.

Z wydarzeń na terenie Londynu zanotować należy uchwałę Rady Narodowej o rozdzieleniu stanowiska Naczelnego Wodza i zastępcy Prezydenta Rzplitej. Praktycznie oznacza to, że gen. Sosnkowski zrzeknie się stanowiska zastępcy Prezydenta. Dotychczas jednak osoba jego następcy nie została desygnowana.

W kraju notujemy obok różnych objawów niemieckiego szału terorystycznego dalsze mordowanie Polaków *przez bandy ukraińskie w Małopolsce* — przy braku przeciwdziałania z naszej strony.

PRZEGLĄD WOJENNO-POLITYCZNY

(15 maj — 10 czerwiec)

Zdobycie Rzymu w dniu 4 czerwca stało się dla aliantów sygnałem rozpoczęcia działań ofensywnych na zachodzie, nazywanych popularnie *inwazją*. Z tą chwilą wydarzenia militarne wysunęły się bezwzględnie na czoło zainteresowań i to zupełnie słusznie, gdyż fakt, że musiało dojść do inwazji i utworzenia drugiego frontu świadczy o tym, że inne środki polityczne nie dają ostatecznego rezultatu i że miecz musi wypowiedzieć ostatnie słowo Jakież można w związku z tymi wydarzeniami snuć kombinacje?

Naszym zdaniem inwazja od zachodu na teren Francji czy Belgii nie stanowi najważniejszego strategicznego celu, nie daje bowiem sama w sobie możliwości powalenia Niemiec jakimś knock outem. Co innego front włoski: tu otwierają się możliwości wyjścia na dolinę Dunaju, kooperacji z armią sowiecką i przecięcia przez równoczesne operacje z północy i południa całego kontynentu na-wpół. odcięcia tym samym Niemiec od Rumunii, Bałkanów i powalenia ich ciosem w „miękkie podbrzusze". Przy takim założeniu

front zachodni miałby na celu tylko wiązanie sił przeciwnika. Ale poza tym front zachodni może odegrać doniosłą rolę psychologiczną. Mianowicie od dwuch lat wpajała propaganda w naród niemiecki „kompleks wału atlantyckiego" i wielu wierzyło istotnie, że jest to system obronny nie do zdobycia. Jeżeli się teraz okaże, że wał ten pękł i że już nie odgrywa żadnej roli, może to wywołać gwałtowne załamanie moralne w Niemczech, a w wyniku spowodować kres wojny. Przypominamy jakie wrażenie wywołał we Francji w r. 1940 upadek linii Maginita. Z czysto wojskowego punktu widzenia większą wagę przykładamy do tego, co się dzieje we Włoszech i w Jugosławii oraz na froncie sowiecko-rumuńskim, natomiast z punktu widzenia psychologicznego nieoczekiwane wyniki może dać przełamanie wału atlantyckiego.

Nie należy jednak i w takiej chwili tracić z oczu wydarzeń o charakterze czysto politycznym czy dyplomatycznym. Przede wszystkim zanotujmy fakt definitywnego odpisania przez aliantów *Turcji* jako ewentualnego sojusznika w walce z Niemcami. Dał temu wyraz prem. Churchill w mowie swej z 25 maja, ale nie okazał on wcale rozgoryczenia z tego powodu. Zapamiętajmy, że odmowa Turcji nie pociągnęła za sobą zerwania traktatu przymierza turecko-angielskiego, podobnie jak definitywne odrzucenie przez Finlandię pokojowych warunków sowieckich nie spowodowało zerwania stosunków dyplomatycznych przez Stany Zj. z Finlandią. W sprawozdawczym okresie ujawnił się pozatym całkiem oficjalnie fakt istnienia poważnych rozbieżności między *Anglią i Rosją*, czemu dał wyraz min. Eden podczas dyskusji w Izbie Gmin. Zresztą mowa Churchilla zdradzała wyraźnie oziębienie stosunku do Rosji a jego komplementy pod adreesm wschodniego sprzymierzeńca miały conajmniej dwuznaczny charakter. Na to usztywnienie postawy angielskiego rządu musiała niewątpliwie wpłynąć *Konferencja Imperialna*, która zajmowała się problemami polityki zagranicznej, ale której wyniki obrad były opublikowane tylko w bardzo ogólnikowej formie. Stosunek dominiów do Rosji ma oczywiście inne zabarwienie, niż metropolii, a mianowcie bardziej szczere i bardziej pesymistyczne. Wystarczy uprzytomnić to sobie na przykładzie mowy *marsz. Smutsa*, wygłoszonej bezpośrednio po zakończeniu konferencji, kiedy powiedział on, że wolałby, aby Rosja przemawiała językiem Lwa Tołstoja niż Karola Marksa, który nie był Rosjaninem i w ogóle nie znał Rosji. Należy się liczyć z tym, że od czasu rozpoczęcia przez aliantów inwazji, a zwłaszcza po mocniejszym ich usadowieniu się na kontynencie, język jakim przemawiać będą alianci do Rosji będzie coraz bardziej szczery i twardy. Rosja to rozumie i obecnie przechodzi do tonu coraz bardziej łagodnego.

Na Fundusz prasowy i organizacyjny złożyli: Grzęga zł. 2500 i 2000. Solidaryzm zł. 500, Ludwik zł. 500 — razem zł. 10.000. Za ofiarność serdecznie dziękujemy.